

# Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven



## Rozdział XX

[Ostatni rozdział Księgi 1: Zmartwychwstanie ]



~Lazarus podążał za zielonkawym, świecącym Widmem Lorda Medicciego, gdy lecieli na południe wzdłuż porośniętego drzewami iglastymi wybrzeża w kierunku portowej wioski Saint Maxime. Po prawej stronie widział niewyraźną i nieregularną krawędź brzegu morskiego z licznymi zatoczkami i półwyspami; a w jego szybkim locie linia brzegowa mogła wydawać się niczym podskakująca plama, skacząca tam i z powrotem, raz po raz. A nawet gdy był w ruchu, po lewej stronie rozległy ocean i jego karmazynowy horyzont uderzały jego wzrok jako nieruchomy morski pejzaż. Mimo to Lazarus wyczuwał subtelną, niemal niedostrzegalną gradację w tej cienkiej czerwonej linii świtu. Jej narastający blask i rosnący upał niemal ostrzegały przed żarliwym i ognistym smokiem, pospiesznie wznoszącym się i zdeterminowanym, by spalić powierzchnię ziemi swoim śmiercionośnym światłem dnia.

Czas toczył się pod bębniącymi skrzydłami, a rytm bijącego serca Eljo skrupulatnie odmierzał jego upływ w ułamkach sekundy. Łazarz leciał dalej, nawet gdy najdalsze krańce wschodnich chmur jarzyły się olśniewającymi odcieniami czerwieni, przypominającymi kolaż kolosalnych plam krwi, rozmazanych na spodniej stronie Niebios. Podwoił tempo, idąc w ślady Medyceusza, ale Duch wciąż parł naprzód.

celowy i nieprzerwany pośpiech. Cienkie linie rozchodziły się od horyzontu w stronę morza, rozprzestrzeniając się na zewnątrz i przez mroczne niebo z pozorem początków monstrualna, ognista pajęczyna. Potężne strumienie wschodzącego słońca rozdzierały niebo, a ten niebiański pokaz świtu był tak potężny, że z daleka sylwetka Łazarza mogła przypominać cień ćmy na tle blasku potężnego wulkanu.

Niepokój Łazarza przerodził się w przerażenie, a potem w panikę, gdy krzyknął: „Medicci, nie ma już czasu!”

„Jeszcze trochę, Łazarzu!”

„Nie, muszę kierować się w głąb łądu!”

„Nie! To tam!” – wykrzyknął Medicci, wskazując przed siebie i na wystające skały tworzące długi półwysep. „Już prawie jesteśmy! Pospieszcie się!”

Łazarz zacisnął szczękę, napiął ramiona, pochylił się pod wiatr i rzucił się naprzód z nową prędkością. Opadł nisko i musnął powierzchnię morza, mocno trzymając się pięty Medyceusza. Razem okrążyli skalisty przylądek i mocno przechylili się. Pióra eksplodowały nad oceanem, gdy Lazarus rozproszył stado ptaków zamieszkujących klify. Rozrywały spłoszone skrzydła, przecinały kamienisty przesmyk i skręcały dalej w głąb łądu, by wpłynąć do zatoczki płytkich, zielonkawych mórz. Zatoka była pełna małych, chaotycznie rozrzuconych wysp, które mogłyby wydawać się równie egzystencjalnie przedstawione – przypominające iglice sterty poszarpanych i nagich skał. Razem stały w zatoce niczym wypalone oceanem szare nagrobki, wznoszące się z szerszej zieleni wodnego grobu.

„Ona tam jest!” Medicci wskazał na dwie pobliskie wyspy, które razem mogły przypominać rząd dolnych kłów, wraz z siekaczami, wznoszących się ku niebu. Wąska szczelina ciemniejszych wód oddzielała skaliste formacje. A gdy Lazarus zbliżył się do przestrzeni oceanu między wyspami, dostrzegł wyraźny i pozornie przemieszczony fragment struktury, który z jego coraz bardziej oddalonego punktu obserwacyjnego narastał, ukazując coraz wyraźniejsze szczegóły.

„Co o tym myślisz?” zapytał głośno Medicci, spadając obok Lazarusa. „To odpowiednie schronienie i schowana w bezpiecznym miejscu, prawda?” W cieniu skał Lazarus zauważył szczątki pochylonej nogi, zatopionej na rufie i wystającej ku górze na dziobie; i ze względu na swój niezwykły kąt nachylenia w wodzie statek mógł wyglądać, jakby miał zamiar popłynąć prosto w północne niebo, gdyby nie fale oceanu. Lazarus zwolnił, aby lepiej przyjrzeć się przekrzywionemu wrakowi.

Zaplamione deski kadłuba świadczyły o tym, że kiedyś znajdowała się na nich równa linia wodna, a tuż pod nimi znajdowała się warstwa

Z najniżej położonych boków sterczącego dziobu wystawały wyblakłe małże, nadając przewróconemu i rozbitemu statkowi wygląd przypominający kość z białą brodą. I było jeszcze więcej, choć znikomych w wyrazie twarzy, co sugerowało, że statek nie był całkowicie martwą skorupą. Lazarus dostrzegł duże konopne liny, które przecinały pokryty glonami pokład, wciąż przymocowane do różnych części statku. Były też inne, tylko częściowo przymocowane, których luźne końce opadały na rufę i zwiślały swobodnie w ciemniejszej wodzie. Rytmiczne fale mrocznych fal kołysały postrzępionymi linami tak, że poruszały się one unisono, przypominając rząd uniesionych i tańczących węży.

Ogólnie rzecz biorąc, statek mógł wydawać się sporych rozmiarów, jednak nie był to statek nadający się do żeglugi morskiej, który mógłby odbywać długie podróże oceaniczne, lecz raczej statek pokonać spokojne morza i wybrzeża pomiędzy prowincjonalnymi portami nadmorskimi. Mimo to, w wyjątkowo opłakanym stanie, statek nie miał żagli ani masztu; na pokładzie głównym leżały zavalone resztki rufówki. Na większości pokrytych glonami platform i połamanych ścian z balustrady leżały porozrzucane fragmenty suszonych rybich tusz, prawdopodobnie będące śladem wcześniejszych posiłków mew.

Medicci wszedł na pokład statku, gdy Lazarus krążył wokół niego, aby dokładniej sprawdzić kadłub pod kątem ewentualnych uszkodzeń. Upewniwszy się, że statek wydaje się być w dobrym stanie, dołączył do Mediciego na głównym pokładzie.

Deski zatrzeszczały pod jego nowym ciężarem. Medicci maszerował ciężko i bezszelestnie w kierunku ładowni statku. „Tutaj” – zawołał, zanim zniknął w środku. Lazarus lekko stąpał za nim, deski pokładu skrzypiały przy każdym jego zdecydowanym kroku.

„ Nie dbam o to ” – mruknął, wciąż zdyszany po locie. „ To bezpieczne? ” Otarł pot z czoła i pogłaskał guzek na czole.

„ Jest wystarczająco bezpieczna, żeby zostać tam dzień ” – krzyknął Medicci z dołu, a jego głos rozbrzmiał w ładowni statku. „ A jej brzuch jest ciemny jak noc – idealnie nadaje się na twoją przypadłość, jak sądzę ”. „ Zbierzcie się ”. Stukanie i stukanie niosło się po pokładzie, niczym stukanie kostek o drewno, kiedy stłumiony głos Mediciego dodał: „ Jej kadłub jest solidny, biorąc pod uwagę jej stan. Podejrzewam, że te wyspy oszczędziły jej uderzenia niejednej burzy. I przechyla się nieco na rufę; jednakże... Lazarusie? Dlaczego pozostajesz na górze? ”

W zasłonie wyspiarskiego cienia Lazarus po raz ostatni ukradkiem spojrzął w górę na nagie formacje skalne, zanim zszedł w mroczne głębinę wnętrza statku. Przez cały czas poskarżył się: „ Ponieważ nie jestem bezskrzydłym, unoszącym się w powietrzu Medicci, muszę czasami złapać oddech ”.

Widmo zachichotało. „ Latasz tak pospiesznie, Łazarzu; nigdy bym się tego nie spodziewał ”.

Lazarus postawił ciężko buty na podłodze kadłuba, odwrócił się i skrzyżował ramiona.

Wpatrywał się pustym wzrokiem w kierunku Medyciego. „O mało nie umarłem od słońca; zabiłem ptaka głową ; i o mało nie wpadłem do morza. A teraz mamy się z tego śmiać?” Medicii prychnął i stłumił wesołość w tym samym momencie, jednocześnie wyciągając kilka piór mewy z włosów Łazarusa. „Wybacz mi, Łazarusie. Nigdy nie widziałem, żebyś wleciał w ptaka. Jesteś ranny?”

„Lepiej niż ptak” – odpowiedział Łazarz, ponownie sprawdzając różowy guzek na czole. „Nie chcę bagatelizować twoich nieszczęść, Łazarzu”. Medicii podszedł do Łazarza i przyjrzał mu się uważnie. „Być może po dwustu latach twoje nowe towarzystwo rzuciło nowe światło na moje własne cierpienie. Dziwne, ale teraz wydaje mi się, że mam powody, by bać się śmierci; a wraz z nią czuję się bardziej żywy. Nie mojej śmierci, zwróć uwagę, ale twojej. Przecież gdybyś miał zginąć, to ja z pewnością zginąłbym wraz z moją biedną Sophią”. Medicii odchrząknął, złożył dłonie i złożył mu uroczystą przysięgę: „Łazarzu, daję ci słowo, że nigdy świadomie nie sprowadzę cię na złą drogę”.

Łazarz uśmiechnął się słabo i skinął głową; Duch z otwartymi ramionami pokazał mu, gdzie się znajduje. „Więc stoisz tu, z zaledwie guzem na czole, a jednak całkiem bezpieczny przed słońcem , tak?”

Łazarz zapadł głęboko w zmysły – jego nos wyczuł wilgotne i słone powietrze z mieszaniną zapachów alg, ryb, zbutwiałego drewna i słodkiego potu w ubraniu. Na szczęście, resztki smrodu rybaka zniknęły z jego ubrania. Czuł zimne krople potu na skórze skrzydeł, teraz schłodzonej w półmroku, chłodzonej oceanem ładowni. Jego źrenice rozszerzyły się w ciemności, a rysy wnętrza statku nabrały kształtu. Widział, że Medyceusze mówią prawdę – wnęka statku wydawała się solidna, z żebrami i skorupą dobrze uszczelnioną. Widmo zachichotało. Czuł nienaturalny kąt stóp; i zbadał podłogę, odkrywając, że jej najdalsze poszycie zniknęło pod kałużą stojącej czarnej wody, która rozciągała się na całej szerokości rufy ładowni. Odwrócił się i zbadał węższą dziobową część podłogi ładowni , która leżała wysoko i sucha. Spojrzał w górę, przez wejście do ładowni, by zobaczyć nagie niebo i jego odsłonięte gwiazdy. Potem zwrócił się do Medyciego i wskazał w górę.

„Niestety, słońce wschodzi i gdy osiągnie pełnię blasku, spali tę ciemność – a wraz z nią mnie.”

Łazarz ruszył, by zejść na górę, gdy Medicii rzucił się naprzód i go zatrzymał. „Nie martw się; pozwól mi. Odpocznij sobie”. Widmo uśmiechnął się złośliwie i wyszeptał mu tajemniczą, rytmiczną i filozoficzną mądrość lekarza : „Jak każda dolegliwość prowadzi do ostatecznego końca, jako lekarstwo, tak i my możemy źle traktować nasze nieszczęścia i w ten sposób dawać „poczuj ulgę i spokój”.

„A co to znaczy?”

„To znaczy, że kilka rozrzuconych belek może zamienić nawet najjaśniejszy dzień w najciemniejszą noc”. Zachichotał i zniknął na górze.

Z góry Lazarus obserwował, jak Medicii pospiesznie znika i pojawia się ponownie, by po chwili wrócić z nowymi kawałkami zawałonego pokładu rufowego i zakryć nimi otwór. A kiedy ostatni kawałek drewna zatarł wszelkie ślady niebios, Medicii wrócił na dół i stanął obok Lazarusa, by docenić mroczniejszą stronę jego poczynań. „Czarny jak smoła; jak sobie życzysz. Co o tym myślisz?”

Lazarus uśmiechnął się znużony. „No cóż, dziękuję – jeszcze raz”. Odwrócił się i wspiął po pochyłej podłodze, w kierunku dziobu ładowni, do desek kadłuba, które leżały wysoko i sucho.

Przy dziobie uklęknął i opadł na brzuch, po czym leniwie przełożył skrzydła. W zapadającej ciemności, szum fal i skrzypiący kadłub niemal go ukołysały, gdy nagle zaczerpnął powietrza i poruszył się. „Medycy?”

„Tak, Łazarzu?”

„Czy kiedykolwiek czujesz się zmęczony?”

„W pewien sposób” – odpowiedział Medicii – „jednak inaczej, niż mógłbyś wywnioskować”.

„Jak to?”

Duch zatrzymał się, prawdopodobnie zamyślony. „Być może najlepiej to wyrazić na przykładzie – więc Przedstawię to w ten sposób – czy mógłbyś przypomnieć sobie moment w swoim życiu, kiedy doświadczyłeś głębokiej straty i związanego z nią smutku tak wielkiego, że poczułeś się pozbawiony wszelkiej woli życia? ”Mogę.”

„Wspaniale” – powiedział Medicii. „Teraz, jeśli zechcesz, spróbuj odsunąć smutek od chwili obecnej, tak aby pozostała jedynie niemoc. A po jego samotności możesz również poznać, co czuje dusza, gdy się zmęczy”.

„Medycy?”

„Tak?”

„Czy możesz latać wiecznie i nigdy się nie zmęczyć?”

„Nigdy nie próbowałem. A z tym latającym aniołem-koźłem, który szuka wszystkiego, co może pożreć, nie zaryzykuję”.

„Azazel?”

„To samo. I nie byłbym tak strasznie zdziwiony, gdyby zarówno Azazel, jak i Azrael mogli latać wiecznie; tak jak przemierzają świat, wznosząc się i opadając, szukając zbłąkanych dusz takich jak ja”.

„W górę i w dół?”

Duch zaśmiał się. „W ciągu moich wielu lat nauczyłem się trochę o aniołach”

martwe. Przecież jeszcze mnie nie złapały, nawet gdy się między nimi kręcę, wędrując po świecie. Widziałem setki Aniołów, wszystkie jako Duchy i Cienie – rozmawiamy o nich tylko dlatego, że są poszukiwaczami błędzących dusz.

„Więc te Anioły szukają dusz, które jeszcze nie opuściły świata. Rozumiem” – stwierdził Łazarz. Duch skinął głową. „Tylko ci dwaj, jak zrozumiałem od Azraela – Azrael i Azazel szukają dusz”. Może mógłbym być bardziej swobodny w ich opisie. Pogłaskał brodę, a potem potrząsnął palcem wskazującym, kontynuując. „Ci dwaj to boscy słudzy Wielkiego Dworu Stworzenia, którzy zbierają śmieci i bałagan, utrzymując w ten sposób Wielki Dom w czystości i porządku”. Medyci wzruszył ramionami. „Chodzą tu i tam, mając nadzieję na mnie, a mnie tam nie ma, bo wiem, jak i gdzie próbują mnie złapać. Grób mojej Sophii to jedno z takich miejsc, gdzie Azrael czyha niczym wąż na pięcie. A jednak zawsze pozwala mi uciec tak szybko, jak mnie łapie. To jak gra sezonowa – udaję, że mam zamiar z nią iść; a ona znowu pozwala mi uciec. I zaprawdę, Łazarzu, często zastanawiałem się, czy nie jestem najstarszą duszą, która tuła się po ziemi”. Medyceusz zastukał w drewno. „Proszę, powiedz mi, mój mądry i skrzydlaty giermku. Czy mógłbyś wiedzieć, dlaczego po dwóch wiekach Bóg nie zmiotł mnie z powierzchni ziemi?” Jestem pewien, że On mnie widzi, tak samo łatwo, jak ktokolwiek mógłby zobaczyć kępkę śmieci albo splątane włosy fruujące po podłodze. Co ty o tym myślisz? Dlaczego? Łazarus parsknął raz, po czym znów zaczął jednostajnie chrapać.

~\*~

Słońce wzbilo się wysoko, by zawisnąć nad dwiema wyspami, skąpać uziemiony Statek Widmo w południowych promieniach i zbrązowić świeżo wyrosłe algi z minionego wieczoru. Rozśpiewane mewy zebrały się na pokładzie, gdzie rozszarpywały mięso ryb oddychających skrzelami. I tak kolejny dzień połowu Rybich Oczu schnął na tle płonącego nieba. Jednak ani razu słońce nie zakłóciło brzucha statku – Łazarz spał smacznie w jej chłodnym i mrocznym. Południe przeszło w popołudnie, a cień zachodniej wyspy zaczął opadać na statek. Zapadł zmierzch, a gdy wiatr ucichł i zmienił się poziom wód, mewy ponownie opuściły statek i popłynęły na stały ląd, zostawiając wieczór, by gonić kolejny dzień świeżo suszonych ryb o szeroko otwartych oczach.

Wielki, pomarańczowy księżyc wzeszedł zza wschodniego morza, rzucając chłodne światło na ocean. I niczym kogut, który budzi się do pierwszego blasku wschodzącego dnia, Łazarz obudził się, by... ostatnie odcienie szarzejącej nocy.  
„Twardo spałeś”. Głos Medyciego niósł się po ładowni.  
Łazarz starał się zebrać myśli. Podniósł się, jęknął, potarł oczy i...

Pogłaskał policzek, na którym wyraźnie widać było odciski desek podłogowych. Potem dostrzegł Mediciego w pobliżu rufy kadłuba, trzymającego obiema dłońmi i złożonymi palcami przeciwległe szwy kamizelki. Stał z pozorną godnością, choć sięgał do kolan w wodzie.

„Dobry wieczór”. Medicci przywitał się i wyszedł z wody, która ani drgnęła.

„Wypocząłeś?”

„Ja jestem.”

„Cóż, cieszę się, że ktoś z nas jest wypoczęty” – poskarżył się Medicci. „Twoim chrapaniem nie dajesz mi spać przez cały wieczór”.

„Wybacz mi, Medyceuszu. Może ja...”

Medicci roześmiał się, zwłaszcza na myśl o śpiącym Duchu.

Lazarus celowo wstał. Spojrzał na Mediciego wzrokiem jak noże. „Mam się teraz śmiać?”

Blady Medyceusz zatrzymał się, jego radosny wyraz zniknął, a Łazarz zaśmiał się na widok przestraszonego ducha.

„Naprawdę mnie zdobyłeś” – przyznał Medicci, grożąc Lazarusowi palcem i wracając do kroku.

Lazarus uśmiechnął się z zadowoleniem. „Ja również życzę ci dobrego wieczoru”. Skłonił się krótko.

Medicci zatrzymał się przed Lazarusem i ukłonił się w odpowiedzi. „Witamy na pokładzie Klejnotu Edenu”.

„Klejnot kogo?”

„Eden” – odparł Medicci szybko i dobitnie. Wskazał ponad ramieniem Lazarusa, w stronę dziobu. „Tak nazywa się statek. Podczas gdy spałeś, wybrałem się na dalsze oględziny; a jej obecny stan wiele mówi o jej przeszłości”.

„Jak to?”

Medicci splótł ręce za plecami, zakołysał się na piętach i uśmiechnął się krzywo.

„Powiem ci, mój dobry Łazarzu”. Spuścił zamyślony wzrok na podłogę i zaczął krążyć ciasno, dzieląc się swoimi spostrzeżeniami. „Wydaje mi się, że siedziała ciężko w wodzie, ciągnąc bele materiału i części garderoby, kiedy osiadła na mieliźnie.

Większość jej podartego ładunku spoczywa teraz na skalistym dnie morskim poniżej, być może porzucona przez załogę w każdej próbie odciążenia. Wygląda też na to,

że próbowali ją cofnąć drugim statkiem, mając nadzieję, że strącą ją ze skał”. Medicci

przewrócił oczami bez wahania. „Najwyraźniej nic się nie wydarzyło, skoro wciąż tkwi twardo na mi

Zebrałem tyle wysiłków z jej licznych związanych lin, z których największe wciąż leżały

w precyzyjnym ułożeniu na pokładzie, a ich zerwane końce były równo rozwieszane nad rufą.

I oczywiście, pomijając Rękę Boga, tylko większy statek może ciągnąć mniejszy statek.

Medicci zatrzymał się i spojrzał prosto na Lazarusa, kiwając głową. „Podejrzewam, że jej śmiała i

Niecierpliwy kapitan pędził po płytkich morzach, z dumnym wiatrem i pełnymi żaglami, obierając kurs między te przeciwstawne wyspy. Mógł dobrze zrobić, trzymając się od nich z daleka, bez względu na pokusę i cenę”. Potem wzruszył ramionami. „Niemniej jednak leży tutaj, czekając na swój koniec – dawny klejnot statku – od tamtej pory porzucony i zapomniany przez wszystkich. ale ptaki i ryby. I prawdopodobnie jesteśmy jej ostatnimi pasażerami, zanim odejdzie w zapomnienie. jej zatopiony ładunek.”

„Masz bystre oko do szczegółów” – odparł Lazarus. „Ja też próbuję, gdy jest taka możliwość”.

„Cóż, to tylko obserwacja. Równie dobrze mógłbym podejrzewać wszystko błędnie, rozumiesz?”

„Nie sądzę” – odparł Lazarus z uśmiechem. „Wydaje się, że potrafisz dostrzec największą prawdę z najmniejszych znaków”.

Medicci uniósł brew. „Słowa, przyjęte łaskawie; jednakże tylko z łaski Boga mogę poznać Prawdę”. Wskazał ręką w górę.

„A teraz, czy możemy wyjść na górę, poruszyć się i obudzić świat z wieczornego snu?”

„Och, rzeczywiście” – odpowiedział Łazarz. Odwrócił się i wspiał na pionową skrzynkę, popychając warstwami Odsunął deski, odsłaniając czyste i świetliste niebo. I niczym ostrożnie wylaniający się gofer, Lazarus uniósł wzrok na wysokość zaledwie oczu, na oświetlony księżycem pokład, by zajrzeć w głąb jego powierzchni. odkrył szybko wznoszącą się sylwetkę Ducha, która wyraźnie wystawała spod solidnego pokładu.

„No, chodź, wieczór należy do ciebie” – nalegał Medicci, skinąwszy na Łazarza, by wyszedł z niego cały.

Lazarus spojrzał gniewnie na Spectre'a, zanim wy dostał się z ładowni. Ostrożnie kroczył po pokrytym glonami pokładzie, badając nieład suszonych szczątków ryb, rozbitego i poszarpanego drewna oraz splątana sieć lin, która splatała się tu i tam; i w górę i w dół. w dół nad całym statkiem.

Medicci podążał za nim w milczeniu, całą uwagę skupiając na niebiosach.

Lazarus ostrożnie podążył w stronę podniesionego dziobu statku. Jego ubranie łopotało na ciepłym i stałym wietrze wiejącym od lądu w stronę morza. Zatrzymał się przy dziobie i przyjrzał się kilowi, na którym znajdowała się częściowo wyrzeźbiona kobieca naga pupa, teraz oderwana w talii. „Klejnot” – mruknął Lazarus, rozglądając się po pokładzie w poszukiwaniu resztek jej górnej części torsu, lecz znalazł tylko drzazgi i porozrzucaną linę. Odwrócił się w stronę morza, odgarnął rozwiane włosy z twarzy i przycisnął je do czubka głowy. Z nowego punktu obserwacyjnego na przednim pokładzie, rozglądając się po dolnej, północnej stronie wyspy od strony morza, dostrzegł wschodzącą, jasną twarz księżyca. Czerwonawa, mglista aureola otaczała pomarańczową kulę, nadając ciału niebieskiemu złowieszczą i widmową fasadę. Lazarus stał nieruchomo.

posąg, gdy pogodził się z widokiem szerokiej i smolistej przepaści przed sobą. W końcu zapytał : „Jak głęboki jest ocean?”

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Eljo odwrócił się i zobaczył Ducha pochłoniętego jakąś zewnętrzną sprawą. Medici stał tyłem do Łazarza, z ręką uniesioną ku południowo-wschodniemu niebu. Spoglądał przez dwa wyprostowane palce, które tworzyły kształt litery V, który ustawił w jego centrum, tworząc stałą linię wzroku skierowaną na gwiazdy. Następnie złączył palce, obrócił je na bok i opuścił ramię, by skierować parę palców wskazujących. Cyfry na poziomie horyzontu. I jednym ruchem dostrzegł precyzyjny kierunek odległej Korsyki. „W linii prostej, tak jak my” – rozmyślał na głos, opierając ręce na biodrach i obserwując krucze morze.

„Medycy?”

Duch kręcił się jak zanurzony i nagle zaskoczony mistrz sztuki, niespodziewanie wyrwany z niezwykłego i abstrakcyjnego świata ekstrapolacji.

„Och, khm... tak, Łazarzu?”

„Czy wiesz, jaka jest prawdziwa głębokość oceanu?”

„Wierzę” – odpowiedział Medici. „I to naprawdę zależy, Łazarzu. Są pewne części , które nie są głębsze niż twoje buty. Ale są też inne, nie mniej płytkie niż chmury”. Zatrzymał się przed Łazarzem i wyjaśnił:

„Można by wnioskować, że ukształtowanie oceanu jest bardzo podobne do ukształtowania lądu, z jego najwyższymi górami i najgłębszymi dolinami. Co więcej, woda na świecie płynie falami, podobnie jak eter Ziemi unosi się w wietrze”.

Lazarus skinął głową i rozejrzał się po oceanie, wydobywając jego głębię w nowym świetle. Spojrzał w niebo, szukając potwierdzenia. „Mówisz, że tak głęboko, jak wysoko sięgają chmury?” „Rzeczywiście, a nawet głębiej; wiem, w najdalszych zakątkach.”

„Skąd to wiesz?”

Medici westchnął, skrzyżował ramiona i zakołysał się na piętach. „Wiem o tym, bo świat mi to powiedział. Przez wiele lat bezcielesności widziałem znaczną część oblicza Ziemi.

Przemierzyłem każdy jej teren, wędrując tam i z powrotem; wysoko i nisko. Od najwyższych chmur i najwyższych gór, po najniższe oceany i najgłębsze wody pod ziemią, szukałem miejsca, gdzie znajduje się Piekło. Zaprawdę, oceany są rozległe, różnorodne i głębokie – wystarczająco, by wydają się być osobnymi, mrocznymi i ponurymi światami.”

Lazarus odwrócił się do Medicciego, wyjrzawszy za burtę pokładu. „Na powierzchni nie wydaje się tak głęboki”.

„Prawda” – odpowiedział Medici, ściskając obiema rękami szwy szaty i przyjmując

postawa dumnego męża stanu. „Na powierzchni większość rzeczy wydaje się taka – prosta, niegroźna, a może nawet spokojna. Jednak nawet zwykły kamień, raz odwrócony, często odsłania pod sobą wiele tajemniczych faset i ukrytych mechanizmów – przeważnie nieatrakcyjnych”. Zaoferował intensywną i wnikliwą inspekcję pokładu statku, jakby w poszukiwaniu wścibskich uszu lub szpiegujących przechodniów. Potem uśmiechnął się ironicznie i wyszeptał: „W moich dawnych czasach, jako alchemik, przewróciłem wiele nieodwróconych kamieni, że tak powiem; zmuszony do odkrycia wielu cudownych niewiadomych świata. I to wszystko, podczas gdy Kościół nie był niczego świadomy – moja praca pozostała ukryta przed wścibskimi oczami”. Zaśmiał się sucho.

„Dlaczego ukryłeś swoją pracę?” – zapytał Łazarz.

W melodramatycznym geście rozczarowania Medicii prychnął i upuścił swój teraz już bezwładny ramiona u jego boku. „Takie są zwyczaje mieszkańców wsi – zwłaszcza tych, którzy padają ofiarą nawet najłżejszych cieni nocy lub widzą swoje cienie jako śledzące demony i diabły, potajemnie czyhające, by ukraść ich dusze. Kiedyś mieszkałem w miasteczku, w którym roiło się od takich inspirowanych Kościołem zbiorowych bzdur. A jako ówczesny alchemik, poszukujący Elixiru Starożytnych i jego lekarstwa na chorobę Śmierci, nawet najdrobniejsze szczegóły moich studiów wymagały zachowania największej tajemnicy”.

„Leczenie dolegliwości jest jednak dobrą rzeczą; dlaczego więc utrzymywać je w tajemnicy?”

„Dlaczego – pytasz?” – zapytał Medicii, rechocząc z niedowierzaniem. „Abym nie wzbudził podejrzeń w mieście, nie wzbudził strachu wśród mieszkańców i nie stanął przed radą kościelną, broniąc się przed oskarżeniami o herezję i czary. Po czym zostałbym zaprowadzony na rynek, ochrzczonego w smole, podpalony i służył jako przykład świetlistej i koronnej pochodni Kościoła w mieście”.

Łazarz przymrużył oczy, obserwując drastyczne obrazy i próbując odtworzyć w głowie obraz.

Medicii odchrząknął. „Łazarzu, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę; ale Kościół faktycznie pali żywcem ludzi za o wiele mniejsze zbrodnie niż uprawianie alchemii, fizjonomiki czy podobnej dyscypliny, bez należycie wyznaczonego nadzorca Kościoła”.

„Pamiętam wzmiankę o takich spaleniach” – przyznał Łazarz, rozważając teraz przypuszczalny los więźnia z katakumb. „Spalenie do gołej kości”.

„Na popiół i pył, nawet” – potwierdził Medicii z nutą odrazy. „Palą, by utrzymać posłusznego głupca pod pontyfikalnym panowaniem”. Pokręcił głową. „W roku poprzedzającym mój ostatni wyjazd za granicę, rynek miasta rozświetlał się jasno przy każdym nowiu – jasno od palonych ciał oskarżonych przez radę. A rytualne palenia były tak rutynowo inscenizowane, że mieszkańcy miasta zaczęli się chować w swoich

domy i potajemnie potępiają Kościół. Zgodziłem się z nimi i choć nie byłem tak zagorzały jak większość, pozwoliłem moim gościom otwarcie wyrazić oburzenie masowymi egzekucjami. Dopiero pewien incydent rozwścieczył nawet najbardziej wpływowych mieszkańców miasta. Byłem strasznie wściekły, a moja Zofia płakała – podobnie jak wielu z nas, którzy znaleźliśmy oskarżonego chłopca. Chłopiec strasznie cierpiał z rąk rady kościelnej.

„Co zrobił chłopiec?” zapytał Łazarz.

„Nic znaczącego, o czym wiedzieliśmy” – odparł Medicci, broniąc się. „ Powiedziałbym, że chłopiec zachowywał się nieco inaczej niż jego rówieśnicy; i być może jego wygląd był równie osobliwy. Był dość aktywny i niespokojny; jego myśli błądziły i często mówił tak ogólnikowo i w takim pośpiechu, że jego pierwotne intencje często umykały mu, zanim zdążył dokończyć słowa. Jednakże szczerze wierzyłem, że miał w sobie więcej zalet niż większość psotnych chłopców w jego wieku. Nazywał się Stephan i; dzięki Sophii bardzo polubiłem ich obu, jego i jego równie piękną matkę, Magdalenę”. Medicci podszedł do burty statku i wsunął ręce do kieszeni. Przyglądał się nagim skałom przybrzeżnej wyspy.

Medicci kontynuował, odwrócony plecami do Łazarza: „Rodzice Stefana byli dobrymi, bogobojnymi i posłusznymi ludźmi. Byli uczciwą szlachtą, zanim stracili szeregi znaczne inwestycje i popadanie w bardziej – jak by to ująć – być może bardziej roztropny styl życia”. Medyceusz wzruszył ramionami. „Cóż, nie zostali zredukowani do poziomu biedaków, zauważcie; chociaż wielu z ich dawnych, szlacheckich znajomych stawało się coraz bardziej i wygodniej niedostępnych. Niemniej jednak nasze drzwi pozostały dla nich otwarte, ponieważ Zofia i Magdalena z biegiem lat stały się jak siostry. Bogate, biedne czy nie; nawet Bóg i Diabeł, działając jako jedność, nie mogliby rozdzielić ich na więcej przestrzeni niż ta, która może istnieć między guzikiem a nitką. Poza tym, czym było bogactwo dla Magdaleny, skoro Zofia często nosiła moją torebkę do miejskich sklepów na wspólne szaleństwo rozrzutności? Zofia pragnęła jej sprawić przyjemność; jednak nie przejmowałem się tym, co moja torebka miała do zaoferowania. W końcu moje dyscypliny wymagały najwięcej

moich dni, pozostawiając Zofii mnóstwo wolnego czasu dla siebie. A ponieważ moja praca nie ucierpiała na tym, Magdalena i Stephan poświęcili Zofii mnóstwo uwagi, na którą nie mogłem sobie pozwolić. W ten sposób, w sumie, wyszło to na dobre wszystkim.

Duch odwrócił się i podszedł do Lazarusa. „W każdym razie Stephan miał wiele rysów twarzy swojej matki, z wyjątkiem jej odległego, norlandzkiego akcentu. Jego włosy miały najjaśniejszy odcień, jaki kiedykolwiek widziałem – były prawie białe. A jego skóra była o wiele bledsza niż...

Nawet jasna cera Sophii, tak głęboka poświata jego niebieskich oczu zdawała się rzucać niesamowity blask, niczym lazurowe kryształy przed płomieniem. To było bardzo podobne do twojego, Łazarzu, niesamowitego spojrzenia. Niemniej jednak, było w nim coś więcej niż tylko powierzchowność.

„Stephan był wyjątkowo bystry i przebiegły jak na swoje młode lata. Jednak w najgłębszym sensie – być może nawet w jego duszy – czułem, że samo jego istnienie nosiło w sobie straszliwą klątwę i Boskie znaczenie w tym samym. Doprawdy, mogłem być świadkiem jego czynów tylko przez chwilę i stać się całkowicie rozdrażnionym i przepełnionym lękiem; chłopiec wykazywał niepokojące i niezwykle poczucie orientacji, zwłaszcza w chwilach, gdy większość ludzi mogłaby stracić wszelką równowagę. Nawet przy jego niezaprzeczonej zdolności – o której mogę z całą pewnością zaświadczyć, będąc rygorystycznym i zdyscyplinowanym praktykiem rozumu i refleksji – jego ciągłe jej okazywanie niezmiennie mnie niepokoiło. I przy tych licznych okazjach, gdy Stephan okazywał swój osobliwy dar, czułem to samo: czułem się równo podzielony i rozdarty między dwiema przeciwstawnymi częściami mnie, które pozostały, niezmiennie w nie dającej się pogodzić sprzeczności z drugą. Jednak to rozdarcie nigdy nie trwało, gdy moje myśli zdawały się osiedlać w nowo stworzonej przestrzeni, równej odległości, między przeciwnymi i walczącymi końcami mnie. Medicci położył dłoń na czole, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma oznak gorączki. Przeszukał wzrokiem gwiazdy, wyznając: „W tej pozornie martwej przestrzeni nowo odkrytej ciszy, pomijając sprzeczne krzyki rozsądku i uczuć, wydawało mi się, że mogę bezpiecznie obserwować poczynania Stephana z daleka; i patrzeć z zachwytem, jak chłopiec wprowadza moje zawodne zmysły w przyjemny, choć uciążliwy stan bezsensu”. Opuścił dłoń i spojrzał bezmyślnie na Lazarusa, po czym pokręcił głową. „Co zrobił Stefan?” zapytał Łazarz.

„Cóż” – stwierdził Medicci, biorąc głęboki oddech i wyraźnie zaniepokojony – „Stephan miał skłonność do nagłych epizodów – lub napadów – w których nie był do końca świadomy siebie. Jego napady często przedłużały się i być może niepokoiły niczego niepodważającego przechodnia, ponieważ wirował w miejscu z rozpostartymi ramionami i patrzył prosto w górę. Żadne głośne wołanie, oklaski ani bezpośredni dotyk nie odwracały jego uwagi. Można było położyć dłoń na uniesionej twarzy chłopca, a on wirował pod nią; jednak jeśli ktoś poruszył się, by zablokować mu ramię lub utrudnić wirowanie, Stephan wpadał w wściekły krzyk, dopóki nie mógł kontynuować wirowania. Naprawdę, w takich chwilach Był całkowicie nieświadomy wszystkiego, co się wokół niego działo, i nie pamiętał absolutnie niczego. To było tak, jakby niewidzialna zasłona opadła na niego, całkowicie oddzielając jego zmysły od świata. I w tym dziwnym i pozornie odciętych stanie, po prostu kręciłby się – i kręcił – i kręcił. Muszę przyznać, że nawet na chwilę, sama

Widok jego wirowania przyprawiał mnie o zawrót głowy – czułam się, jakbym była o krok od utraty równowagi, nawet gdy nie stałam. Jednak Magdalena i Sophia dawno już przyzwyczyły się do częstych momentów wirowania chłopca i udawały, że nie zauważają”. Medici pogroził Lazarusowi palcem. „I śmiem przypuszczać, że gdyby chłopiec wspiął się im na głowy, żeby wirować, a ja dałbym choćby najmniejszą wskazówkę lub dostrzegłbym obecność „Wirującego Stephana” pośród nich, to z pewnością bym się n Dwa razy większy gniew za zwrócenie im na to uwagi. Zawsze tak przeciwko mnie spiskowali – oni dwaj.

Łazarz odwrócił się z zaciśniętym uśmiechem i rzucił z siebie salwę humoru nos.

„Powinieneś się śmiać?” zapytał Medici z wyniosłą miną, po czym kontynuował: „Mimo to nie mogłem tego tak łatwo zignorować ani udawać, że to robię, zwłaszcza że tak wiele drogocennych naczyń i postumentów leżało na wyciągnięcie ręki – a rzędy delikatnych artefaktów zdołały każdą ścianę dworu; nie mogłem przymknąć na to oka”.

Medici skrzyżował ramiona, skinął głową i nachylił się bliżej do Lazarusa, jakby dzielił się z nim jakąś tajemnicą. „Mimo to zdarzały się chwile, gdy Stephan miewał ataki, a kobiety były gdzie indziej, zostawiając mnie tylko z chłopcem”. Uniósł brodę, sugerując zbliżające się i intymne szczegóły, którymi się podzielił; Pewnego razu Stephan wpadł w nałóg, wirując tuż pod wejściem, a jego rozpostarte ramiona wielokrotnie mijały kamienną kolumnę, ocierając się o nią zaledwie o najmniejszy kąt. Odkrywszy to, ustawiłem obok chłopca i nieruchomej kolumny stolik ze świecą i krzesło; i w dobrym świetle badałem niewielką lukę między jego palcami a pobliskim kamieniem. Kręcił się – i kręcił – i kręcił; i ani razu nie odwróciłem wzroku od krótkiej przestrzeni, którą tworzył przy każdym obrocie. Szukałem najmniejszego śladu przesuwającej się przestrzeni, gdzie jego palce mogłyby się zbliżyć lub oddalać od nieruchomej kolumny; jednak w każdym ruchu jego palców nie było absolutnie żadnego zauważalnego odchylenia tej przestrzeni. Przez długi czas Stephan wirował idealnie w miejscu. Było to równie niezwykle, jak i niepokojące”. Po krótkiej pauzie Medici wzruszył ramionami, przyznając: „ Byłem trochę pijany – winem – może lekko pijany, kiedy kobiety wróciły, by odkryć, że wciąż obserwuję ruchy Stephana”. Duch spojrział w dół i potarł bok twarzy, pogrążony w smutku, kontynuując: „Kobiety wypędziły mnie z dworu, wyrzuciły za drzwi moje krzesło i butelkę wina i kazały mi pójść i ocenić odstęp między drzewami”.

Łazarz zaśmiał się cicho, opanował się i zapytał: „Co Kościół zrobił Stefanowi za jego ataki?”

„Och, nie z powodu napadów Stephana – kiedy Stephan się kręcił, milczał.

Church nabrał podejrzeń wobec Stephana, gdy ten otworzył usta – chłopiec naprawdę miał język. Pod tym względem był bardzo podobny do matki. Nie chcę powiedzieć, że mówił lekceważąco czy wulgarnie. Wręcz przeciwnie, był pełen szacunku i elokwencji, nawet w najbardziej bezlitosnych uwagach okazywał uprzejmość. Problem ze Stephanem polegał na tym, że jeśli jakaś myśl zaczynała mu się w głowie pojawiać, mówił o niej, zanim jeszcze nowa myśl w pełni się w nim zdomowiała. Czasami musiał powstrzymać język, dopóki myśl nie dogoniła jego nadmiernie kuszącego pragnienia, by ją wyrazić. Naprawdę, zdawał się niezdolny do zastanowienia się nad myślą wystarczająco długo, by ocenić jej wartość lub stosowność, zanim podzielił się nią na głos. Zatem, jeśli jakaś myśl kształtowała się w jego umyśle, kształtowała się również w umysłach osób z jego bezpośredniego otoczenia, za sprawą jego niespokojnego języka — bez wątplenia wyrażał swoje zdanie kosztem wszystkiego innego.

Ten konkretny szczegół dotyczący Stephana bardzo mnie irytował – nawet bardziej niż jego napady kręcenia – zwłaszcza gdy otwarcie rozmawiał z bliskim i częstym przyjacielem o imieniu „Wiktor”. Medicci oparł ręce na biodrach, zacisnął usta i skiniął głową. „I podobnie jak Stephan w napadach kręcenia, Sophia i Magdalena udawały, że nie słyszą beczelnych i ciągłych rozmów chłopca z przyjacielem. Ja odgrywałem swoją lepszą rolę, nie słuchając. Wciąż było dla mnie naprawdę zniechęcającym zadaniem trzymać język za zębami, gdy kobiety zachęcały Stephana do osobistych i szczegółowych rozmów z przyjacielem, zachowując się tak, jakby Victor był częścią naszej rodziny. Kobiety natychmiast szeptały do Stephana, aby zapytał Victora, czy chciałby im towarzyszyć na terenie dworu; lub weź udział w przejażdżce bryczką do miasta; a nawet zjedź z nami kolację w samym sercu na końcu tego samego stołu.”

Lazarus pokręcił głową z wyrazem zmieszania. „Dlaczego obecność Victora tak cię zdenerwowała?”

Medicci uniósł brew i stwierdził wprost: „Wiktor nigdy nie istniał”.

„A jednak twierdziłeś, że Victor był przyjacielem Stephana, prawda?”

„Powiedziałem, że Stephan ma bliskiego przyjaciela o imieniu Victor – tyle że ten przyjaciel nie jest prawdziwy. Co więcej, Stephan nie pozwala sobie na żadnych innych przyjaciół poza tym „Victorem”, którego wymyślił, całkowicie na podstawie wyobrażeń swego umysłu.”

„A Kościół dowiedział się o wymyślonym przyjacielu Szczepana?” zapytał Łazarz.

„Rzeczywiście; niemal natychmiast” – potwierdził Widmo. „W ten sposób rada kościelna wezwała Stefana do złożenia zeznań pod przysięgą i pełnego zeznania. Wcześniej próbowałem przekonać chłopca, by wyparł się wszystkiego, co dotyczyło istnienia Victora; jednak podczas przesłuchania jego niespokojny język odpowiadał na każde pytanie rady, bezceremonialnie i bez zastanowienia. W końcu odmówił odprawienia swojego rzekomego przyjaciela. Zamiast tego rozwścieczył starszyznę rady, sugerując, że mogą być słabi, mówiąc, że „starzy ludzie

„Od pogarszającego się wzroku, słabnących uszu, wypadające włosy i wypadająca skóra”.  
Medicci pokręcił głową . „Nigdy nie powinienem był rozmawiać ze Stephanem o szczegółach starzenia się . Chłopak naprawdę miał nieokiełznany język”.

„Rada nie potępiła jednak otwarcie Stefana, dopóki nie stanął przed nimi i nie zaczął szeptać z Wiktorem. Kościół natychmiast nakazał jego ścisłe odosobnienie na obserwację; po czym odkryto u niego napady kręcenia się. Minął zaledwie dzień, zanim starsi rady wezwali Magdaleny , aby mogła być świadkiem ich ustaleń. Zrozpaczona i straszliwie pogrążona w żalu, Magdalena błagała o moje towarzystwo, a wraz z nim o wszelkie wpływy, jakie mógł zapewnić szanowany lekarz miejski. Towarzyszyłem jej zatem do sali oratoryjnej rady, mając nadzieję przekonać Kościół do uwolnienia Stefana pod moją szczególną opiekę; jednakże rada już wydała werdykt w sprawie stanu chłopca. W swoim formalnym dekreście stwierdzili, że Stefan cierpi na rzadką chorobę, wymagającą poważnego przepisania ordynarnych metod leczenia, wykraczających poza „istotnie szanowane, lecz ograniczone możliwości zwykłych lekarzy”.

„Jaki był werdykt?”

„Jakikolwiek czar, jaki mogliby przepisać – i jeszcze więcej” – mruknął Medicci. „W przypadku Stephana twierdzili, że odkryli, że cierpiał na stan osłabienia fizycznego posiadanie Sukuba.”

„A co to jest suc— yah—”

„To żeński Duch-Demon – jak jasno określiła to Rada – który przywiązuje się do śmiertelnego mężczyzny, by go duchowo uwieść i pojąć całą jego esencję. Kościół odkrył, że Demoniczna Kobieta występowała pod imieniem Lamiamubus lub podobnym ; i po wnikliwym namyśle duchownych doszli do zwięzłego wniosku, że Duch-Diabeł w jakiś sposób przeniknął sny Stefana, objawiając się chłopcu po prostu jako „Zwycięstwo”, zanim zbezczęścił jego duszę”.

Lazarus wzruszył ramionami. „Victor?” Zacerpnął powietrza. „Skąd Kościół dowiedział się o prawdziwym imieniu Demona – tej „Lamii”?”

„—mubus ” – Duch dokończył imię. „Sobór formalnie odniósł się do rzekomego papieskiego zapisu pewnego znanego biskupa, nazwanego otwarcie „Psem Robaków” czy coś w tym rodzaju – szczegóły ich rzekomych ustaleń wciąż umykają mojej uwadze, zwłaszcza że szczerze wierzę, iż wymyślili pospieszne wyjaśnienie, aby przekonać i uspokoić rozgniewaną kongregację”.

Lazarus zmrużył oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości. Odparł twierdzenie Medyceusza: „Nie przypominam sobie Kanonu Wormacji” , ale czytałem...

świętego Kanonu, spisane przez biskupa Wormacji. Czy to mogło być twoim zamierzonym nawiązaniem?”

„Kanonicy – biskupi – robaki – nie pamiętam dokładnych słów soboru kościelnego”

Medicci przyznał z wyrazem pogardy, luźno poruszając palcami.

„W końcu byłem dobrze wyszkolony w sztuce alchemii i wiernie służyłem jako praktykujący lekarz; jednakże znałem się tylko trochę na liturgii”. Pokręcił głową i westchnął. „Mimo to Stefan był wątłym chłopcem; wielokrotne chłosty i otwarte rany sprawiały, że krew się w nim gotowała. Błagałem Kościół, aby pozwolił mi zobaczyć i leczyć Stefana pod ścisłym nadzorem duchownych; jednak rada odmówiła mi wszelkiego dostępu do chłopca. Zamiast tego, i Wbrew moim szczerym radom, księża i lekarze Kościoła przepisali „natłuszczenie głowy” wraz ze ścisłym „schematem pijawek”.

„Co to jest olejowanie głowy?” – zapytał Lazarus.

„To praktyka o klerykalnej precyzji, zgodnie z którą trzech wyznaczonych przez Kościół agentów zanurza tył głowy opętanej osoby w misie z poświęconym olejem. Pierwszy z nich podaje olej, nacierając nim oczy, nos i usta, aby zmyć wszelkie wrażenie obecności Złych Duchów. Drugi agent podaje ustnie modlitwę w formie Pisma Świętego podczas aplikacji, aby zapobiec zanieczyszczeniu oleju przez pobliskie Demony i Diabły. W tym samym momencie trzeci wyznaczony agent błogosławi oddech opętanej nieprzerwanym strumieniem siarkowego i subtelnego dymu, wdmuchując go precyzyjnie w otwory twarzy opętanego. W sumie proces ten jest dość długi i skomplikowany, wymagający trzech dni i trzech nocy ciągłego leczenia.”

„Słyszałem o tym, ale czym właściwie jest terapia pijawkami?” zapytał Lazarus.

„Pijawki są jak robaki rzeczne, które przeżuwają skórę i żywią się płynami ustrojowymi. Lekarze kościelni przytwierdzili im soczystą stertę do pachwiny chłopca, aby wyssać całą truciznę. To była ostatnia wiadomość o pogarszającym się stanie Stefana; i minęły trzy dni, zanim go pochowano”.

Lazarus cofnął głowę ze zdumieniem. „Jego rany nie były na plecach? Gdzie...

Czy go wychłostali?”

„Odmówili udzielenia odpowiedzi; nigdy nie zobaczyliśmy ciała chłopca ani jego samotnego nagrobka – miejsce wiecznego spoczynku Stephana stało się dla nas wszystkich zagadką.” The Spectre wzruszył ramionami. „Mimo to chłopiec był kruchy i osobliwy na swój własny, odosobniony sposób; jednak Nigdy nie był opętany, z wyjątkiem dziwnego, ale prawdziwego umysłu i serca. Krótko mówiąc, trafił do pilnie strzeżonego grobu, na zawsze wierny swojemu Widmowemu Przyjacielowi. I podejrzewam, że Stephan jest teraz bezpieczny w Niebie, przytomny i być może na zawsze kręci się i rozmawia ze swoim przyjacielem, Victorem.

„To były mroczne czasy” – westchnął Lazarus.

„To były mroczne czasy dla wszystkich” – twierdził Medici – „szczególnie dla osób, zarówno głupich, jak i mądrych, które nie mogły sobie pozwolić na płacenie dziesięciny Kościołowi. A dla tych z nas, którzy mogli, którzy byli uczeni i którzy odważyli się rzucić promyk światła lub nadziei w długie i dalekosiężne cienie Kościoła, były to prawdziwie straszne czasy”.

„Ale biorąc pod uwagę twoje bogactwo, bez problemu mogłeś pozwolić sobie na płacenie dziesięciny, prawda?” – zapytał Lazarus, sugerując, że Medyceusze mogli cierpieć mniej niż większość.

Widmo skinęło głową. „To prawda; dobrze mi się powodziło, nawet z nazbyt hojnymi dziesięcinami, które dawałem .

Kościół szczególnie lubił bogatych. Żądał od zamożnych akurat tyle, ile potrzeba, by utrzymać bogatych na swoim miejscu, a jednocześnie nakładał na nich wysokie podatki, tak że nie powiększali swojego bogactwa. Kościół pozwalał tylko sobie, swoim urzędnikom skarbowym i papieskim oraz wiernym wasalom ze szlachty na pomnażanie majątku. Niemniej jednak, zanim ich odprawiłem, dawałem im dobroczynne dziesięciny i dobre słowa, po cichu przeklinając ziemię, po której stąpali”.

„W tajemnicy uważałem tych zadufanych w sobie i zatroskanych o siebie ludzi Kościoła za całkowicie godnych pogardy. Gardziłem nimi, porównując ich los do wielkiej fali leniwych pijawek, które czerpią zyski z dóbr materialnych i wysiłków wszystkich osób, z którymi się stykali. A w zamian za te materialne korzyści oferowali jedynie bezużyteczne słowa autorytetu, kosztowne rozgrzeszenia i fałszywą obietnicę Nieba. Naprawdę, oczekiwali realnych i namacalnych dóbr w zamian za wypowiedanie bzdur w form religijnej i politycznej retoryki. I czy ich konfiskaty składały się z kilku zajęcy i zerwanych warzyw od chłopca i jego żony, czy sakiewki złota i kilku rumaków od pana i jego żony, ci ludzie uważali swoje słowa, modlitwy i obietnice — ich paplaninę — za równie cenne, jak jakikolwiek podatek, jakiegokolwiek kwoty, nałożony na jakąkolwiek osobę. W końcu, w ich oczach, obietnica życia wiecznego była równie cenna dla biedaka, jak i dla króla. I chociaż idea nieśmiertelności mogła na chwilę ugasić głód wygłodniałego żołądka, a nawet poluzować sznurówki najciaśniejszej sakiewki, gorzka prawda jest taka: nie można napełnić brzucha słowami, zanim pojedzie się do miasta na modlitwę, w nadziei na spełnienie obietnicy. Nawet ospali, nieudolni i bełkocący ludzie Kościoła o tym wiedzieli; I właśnie dlatego żądali od każdego tego, czego sami sobie odmawiali: upolowanej zwierzyny, zebranych warzyw, dobrze wyhodowanych koni, rodzinnych fortun oraz potu i pracy kowali wszelkiego fachu. I całego bogactwa, które zgromadziłem.”

„Wysiłki zarówno biednych, jak i bogatych, uznawali za należne im płatności dożywczych dziesięcin na rzecz Kościoła”.

„Dziesięcina?” – zapytał niedowierzająco Medyceusz, zanim wymyślił nowy tok rozumowania. „Być odsuniętym dla Boga? Czy ci ludzie Kościoła wierzyli, że są Bogiem?” Widmo krótko pogłaskało się po brodzie w melodramatycznym geście kontemplacji. Potem zachichotał i głośno sprawdził swoje obliczenia. „Jeśli dobrze pamiętam, Bóg nie cierpi głodu ani nie jeździ tam i z powrotem na koniu; ani nie udaje się do miasta po nieumiarkowane zakupy”. Nastrój Medyceusza pociemniał i spojrział prosto na Łazarza. „Nie, te dziesięciny zostały przeznaczone na pijawkowe i wystawne życie duchowieństwa Kościoła i jego bliskich. A ja osobiście uważałem, Duchowieństwo, masowo, niczym więcej niż tylko zbiorowe legowiska zdyscyplinowanych złodziei, nastawionych na konfiskatę bogactw wszystkich bogobojnych ludów. Poruszali się w podobny sposób, jak postępująca i wyniszczająca choroba – zachowując się dokładnie jak rozprzestrzeniający się i niepokonanej infekcji. Ich metoda nie była mi obca, o czym mogę zaświadczyć, nawet stopniowo. Po pierwsze, duchowieństwo zanieczyszczało umysły zwykłych ludzi jego zepsucie umysłów zwykłych ludzi, zasiewanie niepotrzebnych ziaren podejrzeń, obaw i zwątpienia w siebie. Po drugie, duchowieństwo systematycznie deprawowało dotknięte nimi narody, regularnie je stosując, w wyraźnym celu zastąpienia wszelkich ich dawnych uczuć zasług i cnoty słabnącymi uczuciami niegodności i winy. Wreszcie, gdy ludzie byli najślabi i w końcu uwierzyli, że są jedyną przyczyną i skutkiem wszelkich okropnych i haniebnych wydarzeń na świecie, duchowieństwo podjęło działania, by ich zniszczyć, niemal na śmierć – choć nie do końca – w miarę jak polegało na ich trwałej wartości materialnej i stale z niej czerpało. I wreszcie, duchowieństwo... wykorzystał tę nowo odkrytą wartość, aby zanieczyścić jeszcze większe masy niegdyś zadowolonych i niczego niepodważających ludzi, dla pogłębienia swoich ziemskich korzyści. W istocie, ta metoda masowego i powtarzającego się zarażania została w dużej mierze zaprojektowana tak, aby rozprzestrzeniać się niczym plaga zbiorowej niewoli – wszystko po to, by gromadzić więcej bogactw dla świeckiego Kościoła w formie nieśmiertelnych dziesięcin”.

„Dziesięciny dla Boga?” – zapytał ponownie Medyceusz, opierając się o wolno stojącą część balustrady i kierując wzrok ku morzu. „Kościół nie znał skromności ani empatii w ich nieugaszone pragnienie grabieży wszelkiego doczesnego mienia – od konfiskaty nędznego kosza warzyw chłopca, po zajęcie co trzeciego rumaka w jego prowincjach; ich potworny apetyt nigdy nie został zaspokojony. I mogę was zapewnić, że Kościół nigdy nie dawał chłopskich warzyw głodnym ani potrzebującym; i z pewnością nie składali ich Bogu w ofierze całopalnej. Powiem wam dokładnie, co z nimi robili – brali je dla siebie. Otyli księża, biskupi i poborcy dziesięcin jedli je tylko po to, by obmyć koryta swoich tuczonych świń, jakimikolwiek porcjami jedzenia, które wystarczały na dłużej niż jeden posiłek; pozostawiając chłopów, by pocieszali swoje płaczące i głodne dzieci, które cierpiały przez kolejny wieczór, miski gotowanej trawy z

„z nutą ziół.”

Medicci zwrócił się do Lazarusa i skinął głową. „Widziałem to na własne oczy, mówię ci; znałem grubego księdza i jego chlew, a także nieszczęsnych chłopów”. Medicci uśmiechnął się złośliwie. „W tajemnicy dałem wygłodniałej rodzinie trzy kozy, dwie zabawki dla dwojga dzieci, hojną sakiewkę monet i wymagałem od nich słowa, że nigdy się do tego nie spowiadają – zwłaszcza przed Kościołem. Przecież nie chciałem, żeby choć jeden kawałek kości, ściętna czy włos z tych trzech kóz wpadł do koryta dla świń, tylko po to, by nakarmić otyłego księdza, jego wspólników i jeszcze bardziej tuczone świnię. A chłopcy byli niezmiernie wdzięczni, Wiedząc, że zaryzykowałem konfiskatę całego majątku za dokonanie darowizny poza księgami skarbu duchowieństwa. Rodzina dotrzymała słowa, nie przyznając się do niczego; i nigdy więcej nie gotowali trawy. Wkrótce potem ojciec tej rodziny stał się jednym z moich drogich i zaufanych sług; a ostatecznie tym, który... „Moje szczątki do ostatniego miejsca spoczynku”. Medyceusz westchnął i uśmiechnął się. „Oczywiście, nie bylibyśmy w stanie zapewnić bytu każdemu chłopu w prowincji; jednak Zofia i ja odczuliśmy w sercach głębokie pocieszenie, że mogliśmy dać promyk nadziei „przynajmniej jedna rodzina w potrzebie”.

Lazarus uśmiechnął się. „Jestem pewien, że byli ci na zawsze wdzięczni za twoją dobroć. I wierzę, że choć w najmniejszym stopniu wiem, jak musiałeś się czuć. Kiedyś zrobiłem coś podobnego”.

„Och?” Medicci cofnął brodę. „Powiedz mi, jeśli możesz.” Łazarz stłumił chichot. Na jego twarzy malowały się wyrazy skromności i zażenowania, gdy wyznał: „Doprawdy, nie było to tak śmiałe ani trwałe, jak twoja dobroć”. Wzruszył ramionami. „Mimo to, gdy kiedyś mieszkałem w katakumbach opactwa, zaniósłem porcję jedzenia głodnemu więźniowi; mimo że ojciec kazał mi zjeść całe jedzenie i zabronił zbliżać się do cel więziennych. Niepokoiło mnie ignorowanie takich rozkazów; jednak bardziej uderzyła mnie myśl, że mógłbym zjeść całe jedzenie i zostawić kogoś innego, żeby się zupełnie obejść, zwłaszcza gdy było wystarczająco dużo jedzenia do podziału. A jedząc kolację, wiedziałem, że jeśli zjem całe jedzenie – nie dzieląc się niczym z głodną duszą – to poczuję się później bardziej pusty, niż gdybym tylko powąchał jedzenie i ani razu nie skosztował. Nie mogłem zaprzeczyć tej myśli bardziej niż temu, że mogłem zaakceptować swój obowiązek wypełniania rozkazów; więc odpuściłem swoje obowiązki i potajemnie pomogłem więźniowi – nawet próbując go uwolnić z niewoli”. „I uwolniłeś go?” „Odmówił, bo uważał się już za wolnego”. „Cóż, jak to mówią: «Dobrych przyjaciół wywodzą się z głodnych i najedzonych». Jestem pewien, że tak było.

„Jestem głęboko wdzięczny za Twoje bezinteresowne wysiłki, Lazarusie.”

„Wierzę, że tak było” – oznajmił Lazarus, promieniejąc. „A potem, mimo że nie wypełniłem swoich obowiązków, czułem się bardziej syty niż gdybym zjadł trzy kozy w całości”. Medici roześmiał się. „Rzeczywiście. To dokładnie to uczucie, które znałem. Kim on był, ten więzień?”

Uśmiech Lazarusa zniknął. Spuścił wzrok. „Nigdy nie znałem jego imienia. A jednak powiedział, że najlepiej zapamiętam go jako »Biedaka w Chrystusie«”.

Radość Medyceusza zniknęła, gdy powiedział: „Domyślam się, że było wiele takich pokornych i oddanych ludzi, dawno wymarłych i zapomnianych, o których można by wspominać i czcić tak stosownym tytułem pełnym nieokreśloności i chwalebnej wyróżnienia w tej samej sprawie. Na wieki błogosławiony ten człowiek, którego tak wspominasz, Łazarzu. To tytuł, którego mógłby pozazdrościć każdy papież, ale wiąże się on ze pospolitą szatą, której nikt nie odważyłby się włożyć. „Tak” – potwierdził Łazarz – „To stosowne. I w ten sposób będę Go wspominał”.

„Rzeczywiście trafne” – zauważył Medici, zanim uniósł palec w górę, oświadczając:

„A przy podobnej analizie, trafnie zastosowanej, to określenie jest równie trafne: nawet jeśli Kościół jest niczym róg obfitości przepelniony otyłością, przepychem i drobiazgami, nigdy nie usłyszycie, żeby ktoś z Kościoła otwarcie się tym chwalił, nazywając siebie „Bogatym Człowiekiem Kościoła”. Przecież gdyby rzeczywiście czerpał swój majątek z papieskiej sakiewki, nigdy by się do tego otwarcie nie przyznał, z obawy przed utratą źródła rozrzutności. A gdyby był człowiekiem Kościoła, który uczciwie nie gromadził majątku w jego skarbcach, to Kościół zażądałby od niego wszelkich dowodów jego nieustającego sukcesu w formie dodatkowych dziesięcin. Tak więc jest wielu takich bogatych i pobożnych ludzi Kościoła, żyjących i zdrowych, którzy mogliby szczerze nosić tak definiujący i pompatyczny tytuł; jednak żaden nie zrobiłby tego uczciwie i otwarcie. Wiesz dlaczego, Łazarzu? Z mojego osobistego punktu widzenia Kościół przypomina niewiele więcej niż połączony i wywyższony kopiec robaków, który żywi się rozkładem powoli duszącej się ludzkości, a jednocześnie w pojedynkę utrzymuje niczego niepodważające narody na skraju śmierci za pomocą powtarzających się wydzielin pobożnej trucizny.

Łazarz go zganił: „Twoje niegrzeczne uwagi bardzo mnie niepokoją od pewnego czasu. Powinieneś powstrzymać się od wypowiedzania się tak ostro przeciwko Kościołowi i jego służbom Bożym. Nie chcę już o tym słyszeć.

Nagły pokaz zdumienia Medyceusza załamał się śmiechem. Rozłożył ramiona, wyraźnie demonstrując swoją obecność. „Czyż mam stanąć przed soborem kościelnym, skoro pozostają głusi i ślepi na samą moją obecność? Czyż duchowieństwo uzna mnie winnym herezji lub czarów i skonfiskuje moje ziemskie dobra, skoro nie posiadam nawet skrawka ciała dla siebie? Czyż mam ponieść drugą śmierć, prze-

Ogień? Czy coś takiego w ogóle jest możliwe, żeby umarli bali się śmierci? Czy mam znaleźć piekło, za ostre słowa?” Medici opuścił ręce. „Próbowałem... bezskutecznie”.

„Przedstawiasz się jako dusza zgorzkniała” – zauważył Łazarz wprost. „Jakżeż ci dano Niebo, skoro twoje serce...”

„Bóg jeden wie” – wtrącił Medici i westchnął – „Noszę w sobie ciężar urazy do Kościoła. I słusznie, bo sam Pan Bóg nie wymaga ani jednego, ani drugiego”.

a, Wikariusz Chrystusa, ani armia duchowieństwa, ani wyniosła i sklepiona marmurowa świątynia, aby móc obcować z Jego trzodą. Od czasów Adama i Ewy oraz ich dzieci, Pan przemawiał do nich bezpośrednio, poprzez ich własne serca. I słyszy nas nawet teraz, gdy modlimy się do Niego w prywatnych modlitwach. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce i rola dla Kościoła? Nie ma niczego takiego, powiadam, poza przekierowaniem i zakłóceniem komunikacji z Boskością.

Jęki naprężonych i rozprężających się drewnianych desek rozbrzmiewały w całym statku; a stado mew, spoczywających na pokładzie, poszybowało w niebo, w stronę brzegu.

Medici wystąpił naprzód i zwrócił się do Łazarza nieco bardziej osobiście: „Powinienem ci dać do zrozumienia, Łazarzu, że nie gardzę moim Panem Bogiem tylko dlatego, że kwestionuję Kościół.

Te dwie rzeczy nigdy nie staną się jednym. Nie należą do siebie naturalnie. W Ogrodzie Eden nie było świątyni – jedynie drzewo pokusy. Nasz Ojciec, który mieszka w Niebie, i Jego Świątobliwość, który nazywa siebie Ojcem Kościoła, są tak od siebie oddzieleni jak słońce i księżyc. Ich odrębne wizerunki zostały połączone w jedną, sfabrykowaną praktykę kultu przez tych

skorumpowanych, oportunistycznych i próżnych ludzi, dążących do władzy i kontroli nad zasobami innych. Widziałem ich sekrety na własne oczy. Z uwagi na dawną pozycję społeczną, rangę i przywileje, ocierałem się o najbardziej nikczemnych i intrygujących z nich. Moje hojne i stałe wsparcie dla Kościoła trzymało tych nadętych, hipokrytycznych i pasożytniczych ludzi na dystans – a zwłaszcza z dala od moich bardziej wątpliwych dzieł alchemicznych. Może i nie czytałem Pisma Świętego, ale religijnie siedziałem na kazaniach kościelnych z moją drogą Sophią, wystarczająco długo, by zapamiętać głoszone przez nią nauki. A jedno wspomnienie, które wyraźnie utkwiło mi w pamięci, to właśnie to przykazanie: „Nie będziesz wzywał imienia Pana, Boga twego, nadaremno”. Teraz proszę cię o to, Łazarzu. Jeśli ktoś jest na tyle próżny, by nalegać, by nazywano go Jego Świątobliwością, twierdząc, że...

jest najwyższym pośrednikiem Chrystusa i że tylko przez Jego Kościół inni mogą znaleźć właściwą pokutę, rozgrzeszenie i ponowne zjednoczenie z Panem – czyż nie popełnia błędu?”

Medyceusz podszedł bliżej do Łazarza i zapytał inaczej: „Jeśli próżni i pobożni ludzie biorą na siebie obowiązek przemawiania w imieniu Pana, to czyż przez taką próżność nie Czyż nie jest to wystarczająco jasne?”

Lazarus odpowiedział, kręcąc głową i odwracając się. „Być może przekręcasz znaczenie, odwracając je od pierwotnego zamysłu”.

W kadłubie statku skrzypiało jeszcze więcej desek.

Medicci kontynuował swoją wiadomość: „Pan zna moje serce, Łazarzu, i właśnie dlatego dane mi było Niebo. I Pan zna również serca niegodziwych, którzy mogą knuć intrygi, by poprzez interwencję znaleźć się między Bogiem a człowiekiem, twierdząc jednocześnie, że są jedyną drogą do Nieba – ścieżką, którą należy zasłużyć jedynie dziesięcinami, krwią, potem i cierpieniem. Ci ludzie to potwory i chętnie, a z całą pewnością, piliby przelaną krew twoich dzieci, by zaspokoić swoje nieugaszone pragnienie władzy i kontroli nienasyconą i potworną próżnością. Zawsze tak było i zawsze będzie – taka jest jego natura – że Zło pozostaje złem, nazywając siebie „Dobrze”. Zaprawdę, tak jak Niegodziwość najgoręcej głosi, że jest jedyną drogą do zbawienia.

Medicci zauważył rosnącą irytację w oczach Łazarza i nagle zmienił swoje barwne poglądy – jeszcze bardziej udoskonił swój wykład, łącząc obserwację naukową i metodologię badawczą z przekonaniem religijnym i wcześniejszą praktyką, aby wyrazić własne logiczne wnioski. „Z mojego głębokiego wspomnienia, nie był to ani ciężar, który sam nałożyłem na swoje barki, ani taki, który mógłbym łatwo zrzucić z własnej woli, nie tracąc z oczu wszelkiej złej prawdy. I doprawdy, uważałem za absolutnie przerażające, że Kościół zachowuje się w sposób ściśle zakazany przez Pismo Święte. W swoim dwulicowym postępowaniu Kościół od zawsze nakazywał, aby nikt nie dziedziczył, nie pożywał ani nie cenił niczego na ziemi, z wyjątkiem szansy na miejsce w niebie, tak jak Kościół pożywał i dziedziczył wszelkiego rodzaju ziemskie bogactwa w postaci zebranych dziesięcin, które hojnie rozdzielił między swoje liczne duchowieństwo, przedstawiciele papieskich. Jako uczony, zdyscyplinowany i skrupulatny człowiek, nie mogłem łatwo uchylić się od własnych obowiązków i skrupulatnych metod obserwacji, a jednocześnie ignorować negatywny wpływ praktykującego Kościoła. Nie przymykałbym też oczu na liczne przyczyny strachu, ubóstwa, cierpienie i śmierć, które miały miejsce w obfitości pod jego bezwzględnym panowaniem. Nie mogłem... Nie chciałem. I dlatego, jak trafnie mnie wyczułeś, uraza jest krzyżem, który zawsze będę dźwigał.

Statek gwałtownie się przechylił i osiadł pod ostrzejszym kątem, a deski kadłuba pękały i trzaskały między kamieniami na brzegu pod wpływem grawitacji przesuniętego ciężaru. Lazarus zebrał się w sobie i spojrzał na Spectre'a z uniesionymi brwiami. Statek ustabilizował się, gdy zapadła nowa cisza. Medicci skrzyżował ramiona na piersi i płynął dalej, jakby statek w ogóle się nie przechylił. „Jako kolejny piękny przykład papieskiej praktyki, gdzie Kościół okrada biednych dla własnej korzyści; kiedyś widziałem na rynku połączony powóz duchownego, wyposażony w...

z sześcioma naciągniętymi rumakami i przesadnie pulchnym woźnicą. Powóz stał nieruchomo przed szewc, którego wnętrze wypełnione było misternie wykonanymi butami. Początkowo nie przywiązywałem do tego większej wagi ; i mógłbym iść dalej, gdyby nie jedno ze szczególnych znaczeń wierzchowca. Ciekawość wzięła górę; więc przeszedłem przez alejkę, aby lepiej przyjrzeć się zwierzęciu i, ponieważ wciąż nie byłem pewien jego tożsamości, zawołałem do niego. Koń nastawił uszy i mnie zauważył. Był piękny i łagodny. Nazywał się Barlow – Magdalena pomogła mu nadać to imię, gdy był jeszcze małym źrebakiem. Barlow regularnie kopał ogrody dla chłopskiej rodziny, która mieszkała na dawnych ziemiach rodziców Stefana. Niemniej jednak nie spodziewałem się, że Barlow będzie się tak zaciekle szarpał z jego ograniczeniami, że spłoszy inne konie i wprawi woźnicę w szal . Woźnica strzelił na mnie batem, krzycząc tak głośno, że nawet papież w Rzymie go usłyszał. Potem zbił zwierzę, aż piana mu z pyska popłynęła. Medyci westchnął. „Od tamtego ranka zawsze żałowałem, że wołam Barlowa. Z pewnością pomyliłem to zwierzę tylko z rozproszonymi wspomnieniami przyjemniejszych i młodszych lat, które już dawno minęły.” Duch skinął głową. „Zaiste, wiele dobra zaginęło w mrokach tych surowych dni, kiedy nawet zwierzęta juczne zdawały się być żalonymi skorupami samych siebie”.

„Mimo to na świecie jest jeszcze wiele dobra, a dni nigdy nie pozostają ciemne”. Łazarz zauważył: „To jest wyraźnie napisane w Piśmie Świętym. Czy nie czytałeś takich wersetów, panie?”

Medyci wzruszył bezwładnie ramionami, a w kąciu ust wykrzywił mu się lekki uśmiech.

„Miałem zamiar ... kiedy znajdę czas. Niestety, zabrakło mi czasu... kiedy umrę”.

Uniósł brew, przyznając: „Miałem wówczas egzemplarz Pisma Świętego w swojej bibliotece .

Przekazano mi go za pośrednictwem rodziny Medyceuszy. Był dość duży, stary i ciężki, z ozdobnymi przeszyciami i ciasnymi szwami na okładkach. Karty były wypełnione kolorowymi malowanymi obrazami i inskrypcjami. Powiedziano mi, że był to jeden z zaledwie trzech egzemplarzy, które stworzyli nordyccy mnisi benedyktyńscy z włoskiej Umbrii. Zebrałem „To był najstarszy tom w bibliotece mojej rodziny, która w tamtym czasie była dość obszerna”.

Lazarus spuścił zaniepokojone spojrzenie na deski podłogi, zanim zwrócił się do Medyciego: „A przy tak pięknej księdze nie przypominasz sobie ani jednego wersetu?”

„Nigdy nie znalazłem wolnej chwili”. Jego zachowanie nagle się zmieniło, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. „Mimo to, nawet jeśli nigdy nie został otwarty, służył cennemu celowi; po prostu stał na półce”. „Jego miejsce?”

„Rzeczywiście. To była pierwsza książka na półce, umieszczona daleko po lewej stronie, dokładnie w pobliżu i na równi z oczami krótkiej, porywczej i gorliwej Włoszki, stojącej przy wejściu do

„moje biuro.”

„Sophia?”

„Nie. Jej przybrana matka – jej ciotka. A ten stary, rodzinny tom był pierwszym przedmiotem, na który zwracała uwagę z religijną uwagą, komentując go przy każdym kolejnym przejściu. Ten starannie umieszczony i nieotwarty tom wysysał ogień z jej oczu za każdym razem, Czas, zanim weszłam do mojego gabinetu. Była sprawiedliwym lwem na progu i tolerancyjnym barankiem na odejściu”. Medyci zachichotał. „Z czasem pisma święte skutecznie chroniły mnie przed siarkowym fanatyzmem mojej teściowej.

„Wydaje się, że bardzo jej się ta książka podobała”.

„Zdecydowanie tak. Było o wiele starsze niż pisma święte jej rodziny”.

„A jednak nigdy nie prosiła cię, żebyś zajrzał do środka – zobaczył słowa, obrazy i strony?”  
“NIE.”

„Czy kiedykolwiek zapytała, czy czytasz z książki?”

„Nigdy mimochodem.”

„Ona po prostu wywnioskowała, że to przeczytałeś, bo to tam było?”

„Tak” – wydusił z siebie Medyci, chichocząc.

Lazarus zastanowił się z zakłopotaniem, zanim zasugerował: „Wygłąda na to, że ona bardziej potrzebowała , żeby Pismo zostało zamknięte i odłożone, niż ty potrzebowałeś, żeby zostało przeniesione i użyte”.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

„Oczywiście, mojej matki nie dało się tak łatwo przekonać” – podkreśliła Widmo.

„ Byli jak noc i dzień. Kiedy jej goście przechodzili obok gabinetu i zauważyli starą W tym tomie niezmiennie o to pytali. Na co moja matka wiernie odpowiadała: „Ta konkretna oprawa nie należy do nikogo innego, tylko do samego Tomasza Niewiernego ”.

„Od Apostoła, Tomasz?”

„Dokładnie to samo. A kiedy miała ze mną kłopoty, zawsze zwracała się do mnie tym imieniem, zwłaszcza w moich odważniejszych dniach, jako młody i uparty chłopiec. Nazywała mnie tak często , że jej goście mylnie nazywali mnie Mistrzem Thomasem, zamiast Mistrzem Gregorym. To było czasami dość niepokojące – i tak właśnie było”. Duch westchnął i utkwiał wzrok w pustce, pogrążony w intymnych wspomnieniach minionych stuleci.

Przeszedł się trochę, zastanowił się jeszcze chwilę i w końcu kontynuował: „Jako były giermek opactwa, mający dostęp do całego skryptorium opactwa, muszę przyznać, że z pewnością jesteś bardziej biegły w kwestiach biblijnych niż ja; jednakże mówię o Kościele tylko w taki sposób , który pasuje do jego wydarzeń w Historii. Nie kłamię ci w tej kwestii. I tak samo liczne wyznawane drogi Kościoła i różne zapisy Historii nie dają fałszywego świadectwa przeciwko sobie – wszystkie relacje i zapisy dzielają te same prawdy. Tak więc, tak jak

Ty znasz Pismo Święte tak samo dobrze, ja jestem równie biegły w historii, a szczególnie w sztuce wojennej i w licznych wydarzeniach, które ukształtowały Kościół”.

„Podobnie jak twoje niepodważalne historyczne sprawozdanie o „wspaniałych kopcach robaków” – czy to również było częścią twojej uczonej Historii Kościoła, Medyceusza?”

Duch walczył z coraz bardziej wykrzywającymi się wyrazami rozbawienia, zanim się opanował . „No cóż, niezupełnie. Jednak dla porywającej dyskusji, o tak beznadziejnie suchej materii jak Kościół, takie wyrażenia dodają nieco koloru, prawda ?”

Lazarus przewrócił oczami. „Wyrażałeś tylko czerń. Czy czerń to odcień?”

Medicci zachichotał i częściowo zrezygnował ze swojej swobody nieskrępowanego wyrażania się. „No cóż, może trochę popuściłem językiem; proszę mi wybaczyć. Zrobię... Nie próbuj dalej przekazywać Pisma Świętego, ponieważ nie znam go tak dobrze jak ty. Muszę jednak mieć możliwość wyrażenia moich poglądów na temat Kościoła z czysto historycznego punktu widzenia, nawet jeśli początkowo możesz być przeciwny niektórym ich fragmentom.

Łazarz wzruszył ramionami i zgodził się warunkowo: „Dopóki barwa twojej pogardy dla Kościoła nie będzie tak oślepiająco jaskrawa”.

„Cóż, rzeczywiście nimi byli, na nieskończone sposoby...”

Lazarus zmrużył oczy i przerwał mu.

Widmo uniósł palec w powietrze, uśmiechnął się złośliwie i uprzejmie dokończył zamierzone oświadczenie: „Jednakże, dla twojego dobra, usunę z moich komunikatów wszelkie wzmianki o robakach i całkowitej odrazie do drapieżnej pobożności, a tobie łagodnie przekażę, być może, bardziej strawną wersję historii Kościoła – tak jak ją wyraźnie pamiętam, zauważ”.

„Może bardziej strawną wersja ... czegoś innego?” Lazarus zasugerował zmianę tematu. „Może, może, coś więcej o twojej drodze Sophii?”

„No dobrze. Może podzielę się z tobą historią, jak po raz pierwszy poprosiłem adopcyjnych rodziców Zofii o jej rękę? Czy mam podzielić się tym najstraszniejszym wydarzeniem, wraz z jego własną „Księgą Dona”?”

Łazarz nastawił uszy i przechylił głowę jak ciekawski pies. „Księga Daniela”, chcesz powiedzieć?”

Medicci roześmiał się. „Tak, dokładnie. Ciotka Zofii warknęła to samo. To był dla mnie dość niestosowny moment, a jednocześnie bardzo zabawny i pełen wydarzeń”.

„Chciałbym o tym usłyszeć” – przyznał Lazarus, znów się uśmiechając i odzyskując spokój.

„W takim razie opowiem ci – może po drodze do Włoch. Domyślam się, że spodoba ci się ta opowieść.

„Jestem tego pewien” – odpowiedział Łazarz.

Kolejny trzask przetoczył się przez drewniany kadłub, a następnie rozległ się dźwięk nagłego przyływu wody pod pokładem — wciąż mocno osadzony na skałach, statek w końcu poddał się morzu. Drewno jęczało i trzeszczało, a pokład pochylił się tylko nieznacznie. Oboje przeszukiwali bezkresny południowy ocean i gwiazdy. Wiał stały wiatr, niosąc w sobie zapach morskiej solanki. Dźwięk nieprzerwanych fal uderzał i bulgotał pod nimi, uderzając pianą o kadłub statku. Lazarus przerwał ciszę między nimi. „Powiedziałaś, że ocean jest być może głębszy niż chmury, wysoko” — stwierdził Lazarus. „Czy jest nawet głębszy niż gwiazdy, wysoko?” „Sam firmament? Chyba nie” – odparł Medici. „Czy kiedykolwiek leciałeś do gwiazd?”

Duch zachichotał. „Oczywiście, że nie. I nie odważyłbym się ryzykować, z obawy przed tym, że zauważą mnie wszyscy aniołowie na świecie. Tam na górze nie ma się gdzie ukryć” – powiedział Medici, kiwając głową w górę. „Moje miejsce jest tutaj na dole, szukam Pieła... i mojej Sophii.

Szukałem wysoko i nisko – od szczytów gór po dna oceanów”. Duch spojrzał prosto na Łazarza i uśmiechnął się. „Jednak ufam, że moje poszukiwania dobiegły końca, z tobą jako przewodnikiem”. Potem spojrzał na morze i skrzywił się. „I szczerze nienawidziłem przeszukiwania dna oceanów. W jego głębokich dolinach wiecznej ciemności pływają straszliwe i niezgłębione morskie bestie”.

„Nawet potwory morskie?” zapytał Łazarz.

„Szczególnie” – potwierdził Medici. „Widziałem wielkie potwory czające się w najgłębszych jamach: białe olbrzymy z masywnymi głowami i bez ciał; a z nich wystawało wiele długich i luźnych nóg – nóg tak niezwykle długich, że mogłyby objąć całą długość największego oceanicznego statku handlowego. Widziałem też ogromne, widmowe ciała bez głów, które wyglądały jak nic więcej niż masywne czepki kąpielowe wypchane długimi, powiewającymi włosami – lśniącymi włosami, które zabijały swoją ofiarę. Widziałem też ogromne, bezzębne nietoperze morskie z rozwartymi paszczami i długimi ogonami. A raz natknąłem się na rozległe dno morskie olbrzymich małży; największy z nich mógł pożreć dwóch ludzi w swojej nagle zamkniętej muszli”. Medici prychnął i skrzywił się, dodając: „Potem były te blade i ohydne stwory z głowami...” Zadrżał z kontynuacją, „— były jak unoszące się głowy, noszące rzędy nieregularnych zębów; a ich ogromne oczy i rozwarte paszcze pochłaniały niemal całą ich istotę. Były to głowy o wielkich oczach i wielu zębach. Zbierzcie, jeśli chcecie, podwodny świat, czarny jak smoła, pełen dzikich i żarłocznych, świecących i unoszących się głów”.

„W morzu są potworne głowy” – zapytał Łazarz, teraz już całkowicie oczarowany fantastycznymi opisami Medyceusza dotyczącymi tak zewnętrznie groteskowych i tytanicznych, oceanicznych osobliwości.

„Cóż, nie były tak potworne jak inne potwory morskie.”

Lazarus rozejrzał się po głębinach zniszczonego pokładu statku. „Czy były nawet większe niż Klejnot Edenu?”

Medicci mógł zbladnąć z cienia zażenowania, zanim zaprezentuje przestrzeń około trzech cali między palcami i przyzna: „Cóż, są – takie wielkie; jednak są naprawdę przerażające z wyglądu, z ich pozornie niekompletnymi jaźniami – bardzo nieproporcjonalne – i widmowe pod każdym względem i wyglądem, zupełnie jak ja. Wyobrażacie to sobie? Były przerażające. Kiedy na nie natknąłem się po raz pierwszy, uwierzyłem, że zapuściłem się w pobliże bram piekielnych, ponieważ z pewną Wyglądały jak coś z cudownego zamysłu Pana. Jednak źle to zrozumiałem – były nie z piekła. Niemniej jednak nawet pająki mogłyby być przystojniejsze w ich towarzystwie, jak Pająki mają wyraźne ciała i sprawne odnóża. A jednak unoszące się głowy, bez ciał i odnóży?” Medicci pokręcił głową z dezaprobatą, po czym spojrzął w stronę brzegu morza. „To trochę jak te świerszcze jaskiniowe – duże, długie nogi, które zdają się podtrzymywać zbyt małe ciało dla zwykłego świerszcza. Nie ma w nich właściwej równowagi”. Znów się wzdrygnął. „To irytujące, w dziwny sposób”.

Eljo rozważał teraz pozornie dziwaczną koncepcję ducha, dawniej zdyscyplinowanego w fizjonomii, cierpiącego na fobię na punkcie obserwowanych dysproporcji organicznych lub anatomicznych grotesk. Zaciśnął usta, by stłumić wesołość, która zaczęła go rozgrzewać od środka. Potem odwrócił się i przygryzł wargę, zanim skonfrontował się z Mediccimi w pozornie poważny i zaniepokojony sposób. „A co, gdyby ktoś rzucił w ciebie jedną z tych małych głów, Medicci?”

Widmo odwróciło się, skinęło głową i chłodno stwierdziło: „W takim razie będą musieli umrzeć”.

„Głowa-Rzeczy?”

„Nie” – warknął Duch. „Ktokolwiek to na mnie rzucił!”

Lazarus zakrztusił się i poddał się całkowitej wesołości, zgiął się wpół i stracił równowagę. Trzask! Plusk! Stojący fragment balustrady runął do oceanu i gdyby Medicci nie złapał gwałtownie za Eljo, Lazarus mógłby wypaść głową w dół za burtę. Duch wciągnął skromnego Lazarusza z powrotem na pokład. pokład statku.

Łazarz wstał. „A przecież jesteś duchem; ta rzecz przeszłaby przez ciebie bez przeszkód”.

Medicci go puścił. „Mimo to, stanie się to tylko raz. I nie widzę nic śmiesznego w tym, co mógłbyś zasugerować”.

Lazarus otrząsnął się. „Wybacz mi, Medyceuszu. Ja tylko...”

„Tak, wiem; i nie jesteś pierwszym, który dostrzega w tym humor. Pamiętaj jednak, że ostatni żyjący człowiek, który rzucił we mnie świerszczem jaskiniowym, został moim najdłuższym pacjentem w tym krótkim sezonie”.

Lazarus uspokoił go, uśmiechając się sztywnym, ledwo widocznym uśmiechem: „Nie zrobię czegoś takiego, Medyceuszu. I dziękuję ci, że mnie złapałeś”.

Medicci mrugnął i wzruszył ramionami. „Naprawdę wierzyłem, że należy ci się płukanie ust morską wodą; jednak tylko złapałem moją Sophie, kiedy upadłaś, tak jak teraz stoisz między mną a nią”.

Lazarus uśmiechnął się i skinął głową. „Mimo to jestem twoim dłużnikiem”.

„Wystarczająco dobrze” – odparł Medicci, zaciskając dłonie na szacie i odchylając się na piętach.

Lazarus spojrzał na brakujący fragment balustrady i wzburzone morze pod spodem, a jego myśli powędrowały do dawnych, prostszych czasów. Szczególnie przypomniała mu się dość komiczna chwila, gdy on, Miguel i Thateus byli razem w studni, płucząc zużyte beczki z opactwem. Miguel wskoczył do wody i krzyknął, że... Potwór Morski go pochwycił. I choć wiedział, że Miguel udaje, bo znał doskonale każdą wnękę i szczelinę w małej jaskini Studni, Thateus rzucił się, by uratować Miguela przed domniemanym Potworem Morskim, besztając Lazarusa za to, że nic nie zrobił, by uratować Miguela przed pewną śmiercią. Lazarus zachichotał. Na zawsze zawstydzony za swoich naiwnych i złośliwych towarzyszy z katakumb. Podniósł wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu.

„O co chodzi?” zapytał Medicci, mrużąc podejrzliwie oczy.

„To nic takiego” – odparł Lazarus, machając lekceważąco ręką. „Po prostu przypominałem sobie dawno minioną chwilę”. Skinął głową i dodał: „Kiedyś uważałem, że świat jest o wiele mniejszy, niż jest w rzeczywistości. Było przyjemniej, kiedy myślałem, że jest mały”.

„Jak doszedłeś do wniosku, że jest tego mniej?”

„Cóż, kiedyś wierzyłem, że ptaki potrafią latać wystarczająco wysoko, by sięgnąć nawet nieba”. Wzruszył ramionami, przyznając: „Wiem, że nie potrafią, ale chciałem w to wierzyć”.

Medicci uśmiechnął się krzywo. „A skąd możesz mieć pewność, że ptaki nie mogą polecieć do nieba, Łazarzu?” Rozłożył ramiona i na chwilę spojrzał w górę. „Czy poleciałeś tak wysoko i daleko, że zbadałeś każdy zakątek nieba?”

Lazarus spojrzał w oczy Medyceusza, zanim odpowiedział: „Mogę być tego tak samo pewien jak ty, z twoim podobnym przekonaniem, że twoje potwory nie wyszły z piekła, Medyceuszu. Czy ty... przeszukano tak głęboko i daleko, że zbadano każdą część oceanu?”

„To nie moje potwory” – odparł Medicci z uśmiechem. „A jednak może możemy nimi być,

„Jestem niemal pewien obu poglądów”. Skinął głową i pochwalił Łazarza. „ W tobie naprawdę kryje się bystry i rozważny alchemik”.

„A biorąc pod uwagę równowagę twojej wiary i obaw, wierzę, że równie dobrze możesz być dobrym mnichem” – przekazał Lazarus, mijając go, idąc w stronę środka pokładu statku . Medicii podążył za nim.

Przeszli przez rozrzucone gruzy i weszli na niewielką polanę w pobliżu wejścia do ładowni. Lazarus zatrzymał się i zamknął oczy. Medicii okrążył Lazarusa. Patrzył, jak bierze głęboki oddech i z gracją przechyla głowę w górę i w dół, a także na boki. A z zewnątrz i z wnętrza Łazarz czerpał wyrazistość i wskazówki z wyostrego zmysłu orientacji Eljo, na który jednocześnie nakładał nieskazitelne wspomnienia map opactwa. Odwrócił się i otworzył oczy, kierując się ku południowo-wschodni horyzont oceanu. Medicii dostrzegł jego rozszerzone źrenice; ich pozorna czerń niemal całkowicie wyssała błękit z oczu Lazarusa. „Znajdziemy nowy kurs w tym kierunku” – oznajmił Lazarus, wskazując na horyzont oceanu. „Czy możemy już iść?”

Medicii go zatrzymał – spojrzał w niebo, zlokalizował gwiazdę polarną i podązał za układem konstelacji coraz niżej, aż jego wzrok padł równolegle do palca wskazującego Łazarza, dokładnie w wykalkulowanym kierunku odległej Korsyki. Zacisnął usta i pokręcił głową. „I śmiesz oskarżać mnie o czary, skoro przyniosłem tylko zajęcia? Jak ty potrafisz tak doskonale nawigować z zamkniętymi oczami?” Lazarus uśmiechnął się i rozłożył skrzydła. „Nie jesteś jedynym z nas, który ma zdolność, która nie jest czarami”.

Duch westchnął. „Dość niejasne, ale dobry zwrot akcji”.

Łazarz zapytał: „Czy mamy obrać kurs na Korsykę?”

Medicii wyciągnął rękę ku niebu. „W górę i naprzód, z łaski Bożej; oświetlaj drogę, Bracie Łazarzu”.

Łazarz uśmiechnął się, odwrócił i rozpostarł skrzydła.

Jak jeden mąż porzucili wrak i wznieśli się w nocne niebo, okrążając je tylko raz, zanim obrali świadomy kurs na morze. Klejnot Edenu zatonął w oddali; ziemie Francji zniknęły; a w blasku wschodzącego księżyca, wzburzona powierzchnia oceanu w końcu wygładziła się, tworząc lśniąca taflę przydymionego szkła. Wspinali się jeszcze wyżej, aż rozległe wody Zatoki León zdawały się połykać cały świat, po raz kolejny, tak jak tylko Noe mógł to wiedzieć. Jednak nawet w obliczu pozbawionego cech charakterystycznych morskiego pejzażu i nieskończonego horyzontu, wędrowny Eljo i zimno wyrachowany Widmo nigdy nie zбочyli ze swojego powietrznego kursu między ziemią a niebem. Razem stanowili niezbędny zestaw instrumentów, mogący rywalizować n

Najważniejsze narzędzia nawigacyjne każdego kapitana statku. Przypominały wysoko latający kompas i sekstant, żeglujące prosto nad słońcą otchłanią oceanu.

Choć ta para uzupełniających się towarzyszy mogła wydawać się nienaturalna i utalentowana, Łazarz i Medyceusze musieli dopiero odkryć, że Przeznaczenie wkrótce będzie od nich wymagało niezmiernego wysiłku i nieobliczalnego czasu, by odwrócić to, co od tamtej pory stało się ze światem. Jednak ten przełomowy moment w Historii jeszcze się nie wydarzył – ani , co za tym idzie, dla ludzkości.

[ Koniec Księgi 1: Zmartwychwstanie ]



Niniejsze dzieło literackie powstało wyłącznie z dedykacją

## Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.GothicNovel.Org)~